



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych, po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60 kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

Ekspedycya główna w księgarni wydawcy
Krakowskie-Przedm. Nr. 411 (nowy 7).

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartal. flor. 3, na prowiny z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 60.

W Krakowie: u D.E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W W. Rs. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

O TEM I OWEM

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

Wybór zawodu.

(Dokończenie).

Rodziców niezaprzeconym obowiązkiem jest usposobić dzieci swoje do pewnego, przyszłość zapewniającego im zawodu; bardzo majątni jedynie mogliby to uważać za zbyteczne, gdyby nie myśl, że mienie, owa skapitalizowana rozumna praca pokoleń, tylko rozumną też pracą zachowane być może, że przeto i nader nawet zamożni ludzie bez ukształcenia obyc się nie mogą, już z samych tylko materialnych względów, a cóż dopiero, gdy przypomnimy sobie, że oni przewodnikami, pochodniami społeczeństw być mają! Tym nielicznym wyjątkom rodzice winni wysokie ukształcenie encyklopedyczne, a jednostki swobodni w wyborze, specjalne prace w późniejszych latach obrać sobie mogą.

Nie tak się rzecz ma z ogółem rodzin miernie zamożnych, lub żyjących z pracy i zarobku własnego. Te nie mają czasu do stracenia, bo i któż zaręczy, zanim syn dorosnie, ojciec spracowany nie leżnie w grobie lub znużonych nie opuści dłoni? Wybór zawodu jest-że rzeczą zupełnie dowolną? powiemyż o ojcu, iż spełnił mądrze i przezornie swą powinność, ilekroć jakikolwiek zawód dał synowi? Nie, stosowność w wyborze zawodu ocenia się mniej więcej według ogólnego stanu kraju i społeczeństwa, według położenia materialnego,—ukształcenia rodziny i uzdolnienia samego dziecka; mądry, kto te wskazówki zrozumie i do nich się zastosuje,

Z postępem oświaty coraz nowe drogi otwierają się działalności ludzkiej; przed dwustu laty tylko stany duchowny i żołnierski zapewniały karierę i znaczenie, a kupiecki zamożność, dziś o wiele większą jest liczba zawodów wiodących do mienia i szacunku u ludzi. Każdy kraj ma zawody sobie właściwe, i tak np. w Anglii marynarka musi być licznie i wyborowo przedstawiana; u nas czuć się daje potrzeba uzdolnionych rolników. Gdy w innych krajach uskarżają się na zbyt przyływy ludności do miast z uszczerbkiem rolnictwa, u nas przeciwnie daje się czuć brak ludzi w zawodach skupiających ich w miastach. Jeżeli miastom brak nauczycieli, brak przemysłowców, fabrykantów, rzemieślników i rękodzielników umiętnych, to wsie znowu czują niedostatek ogrodników, mularzy, cieśli, owczarzy i t. d. Zagranicą natłok ludzi w każdym zawodzie utrudnia życie, zmusza do skromnych za pracę żądań, lecz jednocześnie zagnęła do pracy dokładnej, wytrwałej, sumiennej w obec groźnego współzawodnictwa. U nas brak ludzi w wielu zawodach zapewnia biegłym w nich wynagrodzenia sówite, lecz ich nie wiedzie do gorliwości i pracy, ogół zmusza do stawiania małych żądań i pobłażliwości; z materialnego przeto sądząc stanowiska, stan naszego kraju pomyślniejszym się wydaje dla ludzi małego lub żadnego mienia. Na moralnej stronie społeczeństwa ta łatwość zarobku przy niezbyt sumiennej pracy w niektórych zawodach szkodliwie odczuwać się daje. Przed obraniem synowi zawodu, jeżeli wybitne jego zdolności same pytania stanowczo nie rozstrzygają, winien przeto każdy ojciec przekonać się w jakich zawodach brak ludzi, w jakich łatwiej mu będzie byt sobie zapewnić, w jakich skuteczniej przysłuży się krajowi, strzegąc się przedewszystkiem ślepego naśladownictwa, które nas nieraz do jednostronności wiedzie.

Położenie materialne rodziny na wybór zawodu, wpływ też niemały mieć musi, rodzice bowiem rozważać muszą, zanim coś w tej mierze postanowią, czy stać ich na utrzymanie syna do lat dwudziestu

kilku, czy ukończywszy nauki syn jeszcze czas jakiś na zasiłki od nich będzie mógł liczyć, czy też przeciwnie odrazu swoim tylko siłom pozostawionym być musi, lub co gorsza, może przypadnie mu jeszcze przyczynić się do utrzymania rodziców, dorosłej siostry lub drobnego rodzeństwa. W pierwszym bowiem razie właściwym jest dlań zawód dający zrazu mały lub żaden dochód, lecz obiecujący w przyszłości byt lepszy, wpływ lub znaczenie większe; w przeciwnym razie należy poprzestać na skromniejszym lecz odrazu korzystniejszym.

Niemasz pracy poniżającej; każda uszlachetnia. Są wszelako zawody szlachetniejsze i wyższe, są inne skromniejsze, mniej przynoszące zaszczytu. Zapewne, pracuje artysta, uczony, poeta, pracuje też i najprostszemu rzemieślnikowi, wyrobnikowi, zamiatacz ulic, linoskokowi. Przed Bogiem i moralną sprawiedliwością zasługa ich równa, jeżeli ich gorliwość w spełnianiu obowiązków i doskonaleniu się jednaką była; ale umysł człowieka ceni, szanuje, uwielbia zdolność umysłową, wyżej aniżeli trud ręki, zdolność twórczą aniżeli naśladowczą, pracę wpływową i dobroczynną aniżeli wyrobniczą i wyłączenie zarobkową. Można się przeto dziwić, jeżeli zwykle rodziny niegdy zamożne, a więc i ukształcone, chciałyby synów uzdolnić do zawodów szlachetnych, do pracy myśli a nie dłoni? Bynajmniej—i pochwałać je nawet należy, jeżeli dla dopięcia tego celu czynią wielkie poświęcenia, odmawiają sobie wygod, do jakich nawykły, nigdy bowiem za drogą opłacić nie można ukształcenia, ani możności zachowania własną zasługą stanowiska społecznego zajmowanego przez rodziców. Gdyby zasoby rodziny nie wystarczały na to, może młody człowiek zdobyć stypendyum, zarabiac na życie korepetycjami, a dążyć do skarbów wiedzy drogą trudu ciężkiego. Lecz jeśli mu brak wytrwania lub sił do takiego zmozołu, jeżeli nie uochał wiedzy i ospale na tej drodze postępuje, świętym obowiązkiem rodziców jest: zerwać z najdroższymi marzeniami, zapomnieć o uprzedzeniach wszelkich i szybko a stanowczo zwrócić syna do

zawodu skromniejszego, ale łatwiejszego, nigdy nie odstępować od zasady, „iż każdej pracy imać się godzi, byle nie zostać próżniakiem.“ Trudno nieraz zdobyć się na tę odwagę; zwlekać się jednak nie godzi z bojaźni, by nie przeminęły marnie lata młodości, i syn nie dorósł nieukończony nauk, do skromnego nie uzdolniony zawodu.

Nieraz ojciec rodziny pragnie widzieć syna przysposobionego do pracy, której sam się oddaje, jest to czasem tylko przywiązaniem do swego zawodu, często jednak pragnieniem rozumnym, bo jeśli zawód lekarza, adwokata, artysty, zależy jedynie od osobistego uzdolnienia tego, kto mu się oddaje, to nie wymaga wkładu kapitału (oprócz wyłożonego na nabycie nauk potrzebnych), przeciwnie, zawód przemysłowca, rolnika, kupca, fabrykanta wymaga znacznych kapitałów, i rozszerza i wzmacnia swe znaczenie w miarę swego trwania i jednostajnego kierunku. A czemuż łatwiej mu te przymioty zapewnić, jeżeli nie przysposobieniem syna na następcę; do jakiegoż łatwiej zawodu go przysposobić niż do tego wśród którego wzrósł, na który wciąż patrzył, którego tajemnicie ojciec mu odsłania?

Rolnicy tylko u nas, właściciele ziemscy do przesady posuwają ten zwyczaj przeznaczania synów do zawodu, w którym sami pracują. Nieraz właściciel jednej wioski, ojciec kilku synów, nie chce słyszeć o tem, by synowie ci inne obierali sobie zawody, i tem gotuje ich nieszczęście, przykuwając ich do roli, która właśnie usuwa się z pod ich nóg.

Przyznanie słuszności rodzinom niegdyś zamożnym, chcącym synów do najwyższych usposobić zawodów, pociąga za sobą na pozór obowiązek dla rodzin niezamożnych, pracujących na życie, sposobienia także synów do tychże zawodów, bo jeżeli tamci mają słuszność usiłując utrzymać się na wyżynach społecznych, toć zdawałoby się, że ci powinni postępować tak, aby ich doścignąć. Pozór to złudny, z naszą myślą niezgodny.

Rozwój społeczny, aby był zbawiennym, powolnym być musi; zły jest zastój, gorsze może kotłowanie się żywiołów. Zlewanie się warstw społecznych, zbliżenie się ich i przenikanie wzajemne, jest zapewne dobrem, byleby nie było wynikiem wstrząśnięć nagłych. Otóż równie zgubnym dla społeczeństwa być musi upadek nagły rodzin światłych i zamożnych, jak zbyt szybkie wznoszenie się rodzin ubogich i nieoświeconych. Przykładem myśl moją sprobuję wytłumaczyć, bo mówiąc o przedmiocie tak drażliwym, boję się być fałszywie zrozumianą.

Weźmy rodzinę zamożną, wyzuta ze swego mienia. Nawykniętymi, ukształconymi, tradycją należy ona do wyżyn społecznych; biada jej członkom, jeżeli nie uzbrowieni w wysokie ukształcenie zawodowe, staną naprzeciw ubóstwa. Nieprzygotowani do walki życia, tęskniący za przeszłością, żądni powrotu do dawnego znaczenia, jakże łatwo upaść mogą! Skazani na pracę rąk, lub mozolną a machinalną pracę umysłową, z jakimże wstrętem i bólem muszą się wzywać w wymagania tak nowego dla siebie położenia! Przeciwnie, jeśli ta rodzina przeczornie syna usposobi na profesora, adwokata, artystę, przełom nie będzie dlań tak gwałtownym, może się przed nim zamknie jakiś elegancki dom, ale towarzysztwa ukształconego mu nie zabraknie, a praca szlachetna i pożyteczna osłodzi życie. Przypuśćmy że profesor nie zrobi majątku, a mając liczną rodzinę, nie wszystkich synów będzie mógł usposobić do umysłowych zawodów i jednemu z nich zawód kupiecki obierze; przypuśćmy dalej, że los i temu nieprzyjazny zmusi go do przeznaczenia jednego z synów na rzemieślnika: zawsze to zstępowanie odbywać się będzie stopniowo, powoli wzywać się będą członkowie rodziny w stosunki nowe, nawykając do skromnego życia, do ciasnego koła działania, a jeżeli, co nader jest prawdopodobnem, zachowają tradycje cnót dawnych, uczciwości niezachwianej, ścisłej sumienności, uczciwości nigdy niewyczerpanej, społeczeństwo nie straci wcale na zajęciu nowego stanowiska przez członków dawnej rodziny.

Przeciwnie, wyobraźmy sobie rzemieślnika, kowala, dajmy na to, niezbyt sumiennego, nieokrzesanego zgoła; ma on jednaka, ukochanego, rozpieszczonego, zepsutego, nieodznaczającego się wcale niepospolitemi zdolnościami—ale on duma ojca, ojciec marzy dlań o świetnej przyszłości. On ma zostać adwokatem. I adwokatem zostaje. Ale otrzymawszy tylko książkowe, zawodowe wykształcenie,

z rodziny nie wyniósłszy ani zasad, ani tradycji, ani wspomnień znacznych, goni jedynie za zyskiem, w nadziei, że wzbogacenie się da mu znaczenie, którego mu nie dał obrany a miernie spełniany zawód. Zyskałóż co społeczeństwo na jego wyniesieniu?

Są chwile w których w społeczeństwach objawia się jakby nadmiar zepsucia; zepsucie obyczajów napiętnowało wiek XVIII. Niezwykła chciwość, niesumienność w sprawach pieniężnych, żądza nieumiarkowana wyniesienia, zda się być cechą obecnej chwili, a ilekroć to się zdarza, można śmiało powiedzieć, że jest skutkiem zbyt nagłych upadków i wznoszeń się rodzin na szczeblach społecznych.

Dlatego, zdaniem mojem, rodziny stojące na wyższych szczeblach, winny dążyć do utrzymania się na nich za pomocą zasługi i pracy, które je tam niegdyś wzniosły; stojące na niższych powinny wznosić się nie gwałtownymi a niebezpiecznymi podrzutami, lecz powolnym, pewnym i godnym człowieczeństwa postępowaniem.

Wszelkie warstwy społeczne, a mianowicie niższe, u nas nie są ukształceniem ogólnem wyższymi, lecz raczej niższymi od swego powołania. I tak, rzemieślnik u nas lub sługa, zna mniej więcej rzemiosło swe lub służbę, lecz jedynie machinalnie, dlatego że jedną i tę samą czynność często powtarzał lub widział powtarzaną, a nie zna, ani jej teorii, ani zgoła nie po za swym zawodem nie umie, nawet myśleć i zdawać sobie sprawy ze swych czynności i z rzeczy go otaczających nie potrafi. Pierwszem przeto staraniem rodzin pracujących byłoby powinno, zaradzenie tym brakiem w wychowaniu synów. Trzeba najpierw podnieść ich osobieście duchowo, umysłowo, moralnie, a dopiero, gdy się w nich zdolność wyjątkowa objawi, do wyższych wieść ich zawodów. Środkiem ku temu wpajanie od lat najmłodszych zasad zdrowych, uczenie myślenia, posyłanie do ochronek, do szkół ludowych, a nawet, jeśli fundusze na to pozwalają, nie przykuwanie do warsztatu w 9 czy 10 roku życia, lecz pozostawienie jak najdłuższe w szkołach, a po zaczęciu nauki rzemiosła, posyłanie do szkół niedzielnych na wykłady publiczne, na pożyteczne widowiska — jednym słowem, nieopuszczanie żadnych sposobności do dania im jak najobszerniejszego ukształcenia. Tak kształceni synowie rzemieślników, jeśli mają wyjątkowe zdolności, wzniosą się do wyższych zawodów z korzyścią dla kraju; jeśli zaś są miernych zdolności, to w zawodzie rodziców postąpią o szczebel wyżej np. z kowali lub stolarzy, ślusarzami lub tokarzami zostaną, bo ukształcenie pozwoli im dojść do doskonałości, do którejby bez niego dotrzeć nie mogli. W każdym razie, rodzina ich wyżej moralnie stać będzie od ogółu rodzin rzemieślniczych; jej synowie, jeśli do wyższych zwrócą się zawodów, wyniosą z niej tradycje poczciwej pracy, uszanowania dla umysłowej i moralnej wyższości, liczenia nie na skoki gwałtowne na drodze fortuny, lecz na owoce wytrwałej i umiejętnej pracy, a społeczeństwo wzbogacaniem zostanie jednym ekonomicznie więcej ogniskiem życia czystego, moralnego i porządnego.

A córkom naszym nie możemy zapewnić mniej trudnego życia, kształcać je zawodowo i wychowując stosownie, do czekającej je przyszłości? I owszem. Już samo odpowiednie wychowanie wpłynie przeważnie na zapewnienie kobiecie spokoju, bytu materialnego i moralnej niezależności. Mężczyzna zawodową pracą zdobywa grosz, i tem wszystkie swe potrzeby opędzać musi; sam żadnej bezpośrednio zaspokoić nie zdoła, inni dlań wszystko przysposobić muszą. Kobiecie przeciwnie, trudniej o zarobek, zarobek jej mniejszy zwykle, ale za to, właściwie wychowana, potrafi ona sobie sama niemal wystarczyć, sama w porządku utrzyma mieszkanie, sama przyrządzi sobie pożywienie, odzież uszyje i ze szczerpłym funduszem przeto może być niepodległą, jeżeli ją od dzieciństwa przyzwyczajono do skromności, oszczędności, wystarczania sobie. A przecież mało jest u nas rodzin, w którychby dziewczę wciągano do podobnego wystarczania sobie, pod pozorem, iż nauki całej jej czas zabierają, a jednak nauki te rzadko jej są tak gruntownie i porządnie podawane, aby ją uzdolniły do pracy nauczycielskiej, naukowej, literackiej, artystycznej—zawodowej jednym słowem.

Wprowadzenie praktycznego pierwiastku do wychowania kobiety, wielce się do jej szczęścia przyczyni, lecz nie zdoła zastąpić jej zawodowego ukształcenia. Dziewczę wcześniej się rozwija; w 14

lub 15 roku łatwo dopatrzeć, wybadać do czego ma uzdolnienie: czy talent jaki, czy zdolność do nauki jakiej, czy do robót i zajęć kobiecemi zwanymi; a wtedy, jeżeli dziecię bardzo zamożne, należy tę jej zdolność i upodobanie rozwijać, aby się stało światłem zamięłowaniem, celem i zajęciem jej życia; jeżeli mniej zamożne, to tak, aby w danym razie byt jej zapewniło, a wielce niezamożnej pozwoliło ani chwili nie być ciężarem rodzinie. Nie idzie za tem, aby rodzina—córkę swą uzdolniwszy zawodowo, zaraz, w bardzo młodym wieku, miała ją wyrzucić po za domowe progi i narażać na walki żywota. Ilekroć dziewczę może być użytecznem w rodzinie, a ta nie jest zupełnie biedną, tylekroć dlategoż nie miałaby zostać przy sędziwej matce i zgrzybiałym ojcu? Ale gdy rodzice zestąpią do grobu, jakąż pociecha dla niej, nie być na łasce krewnych, a może i w chwili niedoli być im samym pomocą!

Zamożne dziewczęta dziś nieraz tak znudzone życiem, tak próżni niezajętych, lub bez celu zajętych godzin czujące, jakże byłyby szczęśliwymi, gdyby w nich wcześniej rozwinięto zamięłowanie do jakiego zajęcia pięknego i pożytecznego! Jakżeby inaczej wsie nasze, domy i ogrody wyglądały, o ileżby w nich było więcej piękna i smaku, o ileż mniej nędzy i niewiadomości po wsiach i miastach, o ile mniej małżeństw ze znudzenia zawartych, a przeto i mniej rodzin nieszczęśliwych i nieprzykładnych, gdyby nasze dziewczęta były kobietami o jasnej myśli, gorącym uczuciu, pracowitej dłoni a skromnych żądaniach!

Dążyć więc w górę wszystkim wypada—lecz nie rość w żądania materialne i ambitne—a przeciwnie wznosić się po nad nędzę żywota, umiarkowanym dóbr ziemskich pragnieniem, wznosić się siłą woli, mocą charakteru, potęgą myśli. Oczuć się niezależnym od mienia, od warunków zewnętrznych bytu, panować nad losem swoim, a nie dać się powodować: — oto zadanie wszystkich rodzin, oto cel wychowania dzieci i wyboru zawodu dla nich.

NIEWIASTA POLSKA

W POCZĄTKACH NASZEGO STULECIA

(1800—1830 ROKU)

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

(Dalszy ciąg).

Treść drugiej powieści Jaraczewskiej „Wieczory adwentowe.“

Drugą z porządku powieścią Jaraczewskiej jest *Wieczór adwentowy* w trzech częściach. Niema ona żadnej myśli przewodniej, ani tendencji jak pierwsza; autorka zebrała w niej wspomnienia swoje i włożyła w usta trzech opowiadających osób. Układ jej pełen prostoty.

„Siódmy był grudnia (tak zaczyna Jaraczewska), pierwszy tegi mróz ścisnął wody powierzchni. Ułudzone jej przejrzystością, puszczające się na nią tak poufale jak dawniej, gęsi i kaczki raptem się zastanawiały. Slizgali się wesoło na świeżym lodzie młode chłopcy, tem miłszą może tę uciechę znajdując, w miarę im się niebezpieczniejszą drugim wydawała.

„Słychać było zdaleka tętniące po grudzie wozy, i w każdym domu przy otwieraniu drzwi wchodnich świst mroźnego wiatru i tupanie wchodzących, starrannie przy wnijściu otrząsających nogi żeśniegu.

„Zmierzczało się coraz bardziej, ginał w powietrzu ostatni odgłos dzwonów Kłosowskiego kościoła.

„Zaczęła we wsi odzywać się grzechotka nocnego stróża i szczekanie czujnych na każdy hałas psów strzegących domów gospodarzy. Dwór jednak jeszcze nie był oświecony.

„Znajdowały się tam, przy przedłużonej szarej godzinie, w bawialnym pokoju cztery osoby, które chociaż czułą zdawały się być połączone przyjaźnią,

rzewnego epilogu, w którym po latach dwudziestu zjawia się w Krakowie młody sierota, robotnik złotniczy, — to syn Janusza, wnuk Wojewody, a dziś cudzoziemiec, przybłęda, obcy narodowi i rodzinie, dla którego już przyjaciele ojcowscy, co go poznali, nie zrobić nie mogą, by go krajowi przyswoić.

W całym zakroju powieści widoczna jest tendencja uczciwa i możliwa, choć nieco jednostronna; autor zapominał o tych renegatach z przekonania czy z interesu, których dole były i są całkiem różne od doli Januszowej; o tych, co raz wydarłszy się z gniazda, pluja na nie, a jeśli powrócą, to po to, ażeby je deptać i znieważać. W zamian, co pięknie wydlatnie w jego powieści, to ta myśl, że przy całej skłonności do wyróżnień plemiennych i stanowych, jakie wrastają w masy, skutkiem złego obrotu machiny cywilizacyjnej, jednostki wylamują się po nad ten poziom, bo jest siła wyższa nad wszelki obyczaj wiekowy, nad wszelką tradycję, nad wszelkie prawa pisane — to nieprzedawnialne i najpiękniejsze prawo przyrodzone — miłość, której zadłosy czynienie stanowi jedyną miarę tego, czy i ile obyczaj jaki, instytucja jaka, zmierzają do szczęścia ludzkości, albo ją od tego najwyższego jej celu odwracają.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICZY

przez J. I. Kraszewskiego.

R. Waldmüller. — (Ed. Duboc). — Ostatnia jego powieść. — Zamek Roncanet. — Pisarz i człowiek. — Wpływ czasu. — Niektóre postacie. — Dążność nowych romansów. — Heyse i Auerbach. — Waldmüllera Novelle. — Lorda Dunsany broszura o Niemczech. — Uwagi. — Teatry Europejskie. — Hamburg. — Stuttgart. — Berlin. — Repertuar przyszłej zimy. — Tragedye. — Pisarze dramatyczni. — Legouvé. — Medyolan: Teatr Castelli, jego rozmiary i program. — Paryż. — Trzeci teatr liryczny i akademii. — Konkurs Offenbacha. — Lecocq Duprat. i t. d. — Jul. Rosen. — Najpiękniejszy z nosów. — Laube. — Kongres poetów w Wejmarze. — Fiasco. — Jeden z punktów programu. — Niemiecki przegląd Rodenberga.

Niewiemy już w której z naszych korespondencji wspominaliśmy niedawno o nowej powieści kilkotomowej, naszego towarzysza Szwedzkiej podróży R. Waldmüllera, (Ed. Duboc). Z wielu względów zasługuje ona to, ażeby o niej pomówić obszerniej, nietylko dla tego, że dotyka zlekka najważniejszych zadań wieku, lecz że pod względem artystycznym różni się niezmiernie od ogółu tego rodzaju produkcji. — Waldmüller pisał już dosyć, jest poetą, jest humorystą i daleko lepiej niż powszechnie bywają jego współziomkowie, oswojonym jest z obcimi narodowościami, ich obyczajami i językiem. Stanowi to nawet rys jego indywidualności właściwej, że bada i usiłuje się wtajemniczyć w fenomena życia najrozmaitszych narodów. W jednej z dawnych jego powieści, acz z lekką przesadą, odmalowaną była rodzina polska z Galicji — z pewnymi cechami prawdy i charakteru rzeczywistego. — Powieść ta jednak (Testament milionowej pani) nieskończenie, pod względem artystycznym jest niższą od najnowszej — która nosi tytuł: *Zamek Roncanet*. Jakkolwiek ma to być romans i forma zewnętrzna usprawiedliwia to nazwanie, autorowi nie szło wcale o napisanie zajmującego opowiadania i o rozwinięcie dramatu, ale o skreślenie etnograficznego obrazka styryjskiego, austriackiego raczej, na którego tle poruszają się bardzo oryginalne postacie ze wszystkich klas społeczeństwa.

Zamek Roncanet należący niegdyś do rodziny emigrantów francuzkich, nabyty został, nawet z ostatnim jej potomkiem, na umyśle osłabłym, przez majątnego niemieckiego dorobkowicza.

Człowiek ten, wychowanie odebrawszy niedostateczne, ukształcony praktyką na gospodarza, namiętnie oddany zarządowi i ulepszeniu majątku — jest pozorną osi, około której się cała czynność obraca. Pepi dochodzi lat trzydziestu i potrzebuje się ożenić, więcej dla spełnienia woli matki zmarłej, niż dla serca własnego, które zranił niegdyś lekkomyślny stosunek, a czasów pobytu w uniwersytecie w Heidelbergu, a po którym zostały mu bolesne wspomnienia i zgryzoty. Bogaty dorobkowiec wielki

wpływ wywiera na okolicę; jest naturalnie przez wszystkie stronnictwa pożądanym i rozmaite intryżki starają się go wciągnąć w koła swoje. Na tej osnowie obraca się opowiadanie, bardzo starannie i z wielkim talentem plastycznym, z nader umiejętnym realizmem wykonane. Wszystkie postacie są jakby z natury wzorowane, życia pełne i prawdy. Autor nietylko że ich nie idealizował, ale w przeciwnym wcale idąc kierunku, czasami o karykaturę zawadza. Szczególniej życie ludu i jego obyczaje są prześlizgnie odmalowane. Niektóre sceny, stanowiące oddzielne epizody, za małe arcydzieła uważać można. Lecz całość nie odpowiada artystycznemu wykonaniu części pojedynczych. Charakterystyka figur wyborna, dopóki one pozują zdaleka do portretów, wprawione w ruch, obracają się daleko mniej szczęśliwie. Jakkolwiekby, Zamek Roncanet należy do najpiękniejszych utworów literatury powieściowej niemieckiej współczesnej. Studium nad tą powieścią jest dla nas tem więcej zajmującym, że znając osobiste autora, mogliśmy dopełnić je sobie, postrzeżeniami nad wpływem czasu i ducha tego czasu na pisarza.

Waldmüller urodzony i wychowany w Hamburgu, pochodzi z rodziny francuzkiej (normandzkiej), nazywa się w istocie Duboc, zachował pewną sympatyę dla kraju rodzica swojego, umie wybiornie po francuzku (umie też po angielsku i po włosku), pomimo to wszystko jest — najmocniej w świecie narodowo-liberalnym Niemcem i wielbicielem polityki bieżącej ks. kanclerza. W czasie wojny 1870—1871 ciekawość badacza zaprowadziła go była aż do pola bitwy, apo zdobyciu Paryża wkradł się, życie i swobodę stawiając na szalę, aby skutki długiego oblężenia śledzić na miejscu. Z jego opowiadania wiemy, jakie na nim wrażenie uczynił chleb ów gliniasty i ościsty, który mu pokazywano z wyrzutem: — Twoi bracia to... tem nas karmili? — Człowiek wykształcony, w innych względach bezstronny, charakteru łagodnego, miły — gdy na stół przychodzi sprawa niemiecka, owego kulturtregerstwa narodowego, — widzi rzeczy namiętnie i z uprzedzeniem. Tak samo upojony jest tryumfem nad Francją i jego prawdopodobnymi następstwami, jak inni. Wszystko co się dziś czyni w Niemczech względem innych narodowości, jest według niego usprawiedliwione.

Odbija się to przekonanie i w tym austriacko-styryjsko-kosmopolitycznym romansie, w którym bezpotrzebnie zaczepia kwestję kościelno-państwową, katolicyzm i kwestję narodowości, szczególniej czeskiej. Reprezentantem Czechów w powieści jest karykaturalny, sfanatyzowany Czech, panslawista dziwaczny, który, gdyby nawet był studyowanym z natury, byłby tylko ekscypcą, nie typem. Malarz nie odwzorowuje kaleków w obrazie, szczególniej gdy mu o charakterystykę plemion i narodów chodzi. — Tak samo duchowieństwo katolickie, acz z większą nieco wstrzemięźliwością i stosunkową prawdą jest odmalowane.

Począwszy od wyrobników i chłopów, których autor wystudyował najdoskonalej i z talentem niezrównanym, wszystko niemal klasy społeczne są reprezentowane w obszernym romansie. — Szlachta występuje także jako „wesoly ludek“ z cechami sobie właściwymi. Dziedzic zamku Roncanet pragnąc się ożenić, najprzód zaręcza się z córką owego Czecha, śliczną panią, nie wiedząc po jakiemu wychowaną na pensyi. Tą Libunę nieszczęsną odbiera mu huzar, szturmem ją biorąc wehwił, gdy już prawie się na wyjście za mąż zgodziła. Oświadcza się później bogaty dziedzic, prostej dziewczce, która zarządza jego aklimatyzacyjną szkołą — a raczej inwentarzem, pięknej ale zupełnie ograniczonej Tonerle. Naostatek bierze zakochaną w nim sierotę, która była na zamku służącą — piękną, rudowłosą Lisel, oryginalną postacią, którą francuzczyzny i tańca wyuczył oblakany markiz Roncanet. Sceny początkowe romansu, wyprawa Tonerle na zamek, ucieczka Lisel z zamku i jej przyłączenie się do wędrujących z niedźwiedziem i małpą Sabaudezyków — te ludowe obrazki są niezmiernego realistycznego wdzięku. Nie zbywa na prawdzie i innym postaciom epizodycznym, takiemu np. Serder-Maruchellemu, malarzowi Notker, prawnikowi i innym — lecz tu już często realizm przechodzi w karykaturę, również jak w gościach na kuracyi żętycą zgromadzonych. Wszystko to razem z humorem pisane, pełne barwy, igdyby nie pewne ustępy rażące, gdyby nie zaczepie-

nie niepotrzebne kwestyi, których pobieżnie muskać się nie godzi — gdyby nie różne drobne usterki, byłoby znakomitem. Tak jak jest. Zamek Roncanet w epizodach arcydziełem nazwać się może.

Mamy tylko za złe miłemu autorowi jego, że się tak dał zawojować prądowi czasu. Idzie z nim zapewne każdy, kto nie chce od ogólnego pochodzu pozostać w tyle, ale idzie, aby nim kierować się starał, aby wpływał na prostowanie drogi, nie żeby ślepo dawał mu się wieść na bezdroża. Ilekroć Waldmüller jest sobą i swobodnym, gdy zapomni o kwestjach polemicznych, gdy tendencyjnym być przestanie, widać w nim znakomitego artystę, nieustępującego w wykonaniu swych obrazków, nawet mistrzowi Heysemu, ale i Heyse w „*Dzieciach Świata*“ upojony jest ideami wyrosłymi na pobojuwiskach 1866—1871 roku i iemu jak Waldmüllerowi, jak Auerbachowi, zdaje się, że misya zwyciężkiego germanizmu zależy na wyswobodzeniu świata z pod panowania więzów religijnych idei! Nie umieli już sobie innego zaznaczyć celu, a nie widzą, że zadanie to równa się niemal temu w bajce, co osła chciał jeść odczytać. Nieszczęściem w chwili gdy już stworzenie to prawie było zreformowane i wyedukowane — zdechło. — Auerbach również jak Heyse, a nieskończenie więcej od Waldmüllera uległ temu prądowi, ale w swoim *Waldfriedzie*, który jednaka z *Dzieciami Świata*, a daleko słabiej ujęta miał dążność propagowania bezkonfesyjności, jako artysta upadł. Chciano z tej niepomiernie nudnej gadaniny prussofilu-Spinozisty uczynić arcydzieło; probowano nawet stawić je obok współczesnie wyszłego Roku 89 Wiktora Hugo, ale Braun, dziennikarz słuzebny ks. kanclerza, śmiech tylko tem porównaniem wywołał. Rachityczne to dziecie starego Auerbacha, jako pisarzowi, nie dodało mu liścia do wieńca jego sławy.

Waldmüller, o którym mówiliśmy, wydaje także zbiór swoich novell. Pierwszy ich tom wyszedł w Stuttgarcie u Cotty, pod tytułem *Leid und Lust*. Małe te obrazki są śliczne i z wielką „*finesse de touche*“ wykonane. Pierwszy z nich na tle normandzkim, dałby się przełożyć i nie postradałby wdzięku, drugi nie nadaje się do przekładu. W Waldmüllerze czuć człowieka, który ciągle szuka dróg nowych, nowych przedmiotów i studjuje coraz nowe życia strony.

(Dokończenie nastąpi).

PRZEGLĄD TEATRALNY.

On nie zazdrosny. — Komedya w 1 akcie, z niemieckiego. — **Homar.** — Krotoczwila w 1 akcie p. Gondineta.

Przypominacie sobie może czytelnicy wyborna choć starą komedję francuzką pod tytułem: „Przy-sługa,“ w której przed kilku jeszcze laty, zachwycali warszawska publiczność p. Richter z panią Bakalowiczową?

Wzięcie więc ten sam temat: niezazdrosnego męża, którego żona chce wprowadzić koniecznie w zazdrość, ażeby mieć przeto dowód miłości, odejmiecie dowcip i nieporównaną umiejętność sceniczną Francuzów, przedłużcie sytuację w ten sposób, że coby Francuz powiedział w dwóch charakterystycznych słowach, tego Niemiec nie powie tak samo w czterdziestu — a będziecie mieli przełożoną komedję z niemieckiego p. Elsa pod tytułem: „On nie zazdrosny.“

Jest tu tylko — tak jak we wszystkich utworach niemieckich — mniej ryzykownego żartu z węgłów małżeńskich, mniej dwuznaczników, bez których francuzki komedyjopisarz się nie obejdzie, — a więcej przyzwitości, trochę ciężkiej i flegmatycznej i trochę też nudnej.

Jest także w tem różnica co do treści, że w „Przy-słudze“ mąż najspokojniejszego usposobienia, staje się najnaturalniej zazdrosny, gdy mu się zdaje iż żona która tylko odgrywała z nim komedję, zdradza go rzeczywiście.

I z tego źródła płynie najrzeczywistsza komiczność, oparta na psychologicznej prawdzie; — przeciwnie w niemieckim mimowolnym plegiacie, — mąż

udaje tylko zazdrosnego i naprzód zapowiada wujaszki szej żony, że będzie zazdrosnym, przez co pali sam za sobą okręta, bo publiczność niema już najmniejszego powodu do ciekawości.

Zatem młoda żonka doktora—obiecuje nie być zazdrosną—zapewne i dotrzyma, gdy się zestarzeje—bo zresztą rzecz wiadoma, że kto istotnie zazdrosny, ten się nigdy nie wyleczy żadnym środkiem perswazyi, dla tej prostej przyczyny, iż zazdrość liczy się do kategorii najjadliwszych namiętności.

Wujaszek poczciwy, który świeżo przyjechał z prowincyi, służy nadobnej siostrzenicy za pomocnika w mistyfikacji męża, co prawda tak naiwnie obmyślanej, iż ją tylko „gołębiej prostoty“ germanin, wymyśleć był w stanie.

Rzecz cała jednak zaszczerpiła się i przyjęła na naszej niwie scenicznej, bo była przedstawioną arcy-wybornie. Panna Popiel rozkoszną, była młodą żoneczką, i tyle miała wdzięku skarżąc się na zimnego męża, że istotnie mógłby się on wydać każdemu obrzydłym tyranem, gdyby go nie był grał p. Tatariewicz z wielką lekkością, z wielką prawdą i umiarkowaniem, pojmując doskonale granice „udawania“ i uczucia.

A pan Chomiński—pociesznym i serdecznym był wujaszkiem. Umiał się dostroić do obrazka odmawanego na obcym tle, i w ten sposób wszyscy we trójkę, odnieśli zwycięstwo nad publicznością, niekoniecznie wierzyć pragnącą w dobroć tego towaru. „Homar“ jest to rak morski, którem się delectują smakosze. Tak samo pan Romanèche, dopóki się nareszcie nie przejadł, bo odtąd trawiąc źle wpadł w mizantropię, zaniedbywał żonę i klócił się z teściem.

Opuszczona żona, zwyczajem paryżkim, zaczęła szukać rozrywki i znalazła ją w towarzystwie młodego mężowskiego sekretarza, z którym się wybrała potajemnie do teatru.

Ale tu zaczął się szereg przygód.

Zemdlawszy w teatrze, została odceniona przez jakiegoś młodego doktora, który zarazem znalazł jej branzoletkę i paltot jej towarzysza. On też, to jest ten mniemany doktor, przybywa do domu pana Romanèche, i jego jako dawnego przyjaciela zawiadamia, że w tym co i on domu, mieszka dama, którą z zemdenia, udając lekarza, odcenił.

Szereg kolizyi wynikający ztąd—sceny poznania się wzajemnego, nieporozumień i pogodzeń—nie należą już do tego tu sprawozdania, bo zresztą oparte są na karykaturalnem niepodobieństwie i na szarzy czysto-paryżkiej.

Trudno byłoby się też zgodzić na przyzwoitość założenia sztuki, polegającej na niestrawności spowodowanej; „homarem“, gdyby nie opłacił całości niezaprzecony komizm i ta werwa francuzka, właściwa w wysokim stopniu panu Gondinet,—a której nie zrówna tysiąc naśladowców.

Wreszcie gra artystów jest tak wyborną, tak przepysznie cieniującą najnieznaczniejsze napozór drobiazgi, tak rozsmieszającą widzów, że dla niej już samej, można się rzec na chwilę zbyt katońskiej surowości.

Bądź co bądź,—mniej ona przyniesie szkody tym i owym, niż wymowne a z gruntu zepsute sofizmata Dumasa syna.

Bohaterem pod względem gry przewybornej w tej krotchwili, jest pan Ostrowski jako ów pan Romanèche, profesor uniwersytetu. Oddziaływa przepięknie na widzów swą komiką seryo, która się nie zdradzi nigdy najprzelotniejszym nawet uśmiechem.

Dzielnie pomagała pani Bakałowiczowa (żona Romanèche)—niemniej i pan Leszczyński, któremu tylko radzimy wymawiać staranniej albo wolniej. Miło też nam zaznaczyć, że p. Grubiński był może pierwszy raz doskonale usposobionym. Jako sekretarz znużonego profesora,—w ostatnich zwłaszcza scenach,—podtrzymał ogólny efekt komiczny, weale umiejętnie.

E. Lubowski.

SPRAWOZDANIE Z WYSTAWY ROLNICZEJ

(odbytej w Warszawie we wrześniu 1874 r.).

(Dalszy ciąg).

Nieopodal szkółek znajdowała się kollekeya różnego systemu *Uli*, już to próżnych, już zawierających pszczoły. Obok ulów widzieliśmy kilka odśrodkowców służących do oddzielania miodu z plastrów. Ramka z zarobionym plastrzem, założona w odśrodkowiec, poddaje się ruchowi obrotowemu nadawanemu za pomocą korby. Miód wyrzucony siłą odśrodkową, spływa po ścianach na dno odśrodkowca, a ramka z plastrzem wypróżnionych komórek wstawa się napowrót do ula, w którym pszczoły znów napełniają je miodem. Tym sposobem pszczoły nie potrzebują robić nowych komórek, a przez to pracowite te owady zbierają więcej miodu. W ogólności wystawa uli wskazuje, że pszczolnictwo stanowiące niegdyś jedno z obfitujących źródeł bogactwa naszego kraju, tak długo znajdujące się w upadku, podnosić się zaczyna. Z kobiet przyjmowała w tym oddziale udział p. Balbina Ptak, przedstawivszy miód w plastrach i patokę. W oddziale tym wielki medal srebrny nadesłany przez cesarskie towarzystwo ekonomiczne w Petersburgu otrzymał p. Gebethner Gustaw z Warszawy za poprawienie ula ramowego.

W pawilonie mieszczącym *Plody przemysłu leśnego i jedwabnictwa* panował zawsze taki tłok, że trzeba było wiele czasu poświęcić aby być w możności przyjrzenia się ciekawym okazom tego nowo powstałego, a raczej powstać nie mogącego, przemysłu.

Widzieliśmy tam motyle i jajka jedwabników morwowych, dębowych i aylantusowych wyprodukowanych w kraju, żywe jedwabniki spożywające liście, kokony jedwabników, różnych gatunków, rozwijanie jedwabiu na miejscu, jedwab' przedzony, watę jedwabną i nareszcie gotowe materye z krajowego jedwabiu. Przysłać trzeba, że okazy te chlubnie świadczą o usiłowaniu pojedynczych osób, jak również naukowych i dobroczynnych instytucyi, a także zakładu jedwabniczego w Sielcach. Przysłowie jednak: „każdy początek trudny“, sprawdza się w dziejach naszego jedwabnictwa. Wprawdzie p. Baron Dangel wykazuje szkołkę z 200,000 drzew morwowych, a p. Bogucki Adolf z 300,000. Cyfry to już bardzo poważne, pożądanymby jednak było, aby obydwa ci handlowcy, wykazali jakie dochody przynoszą im—tak produkcyja jedwabiu jak i własne ich rozwijalnie. Czy produkta pochodzące z ich zakładów znajdują chętnych nabywców w kraju lub zagranicą? Cyfry i tylko cyfry wykazujące zyski, mogą zachęcić do produkcyi jedwabiu, która przejść by w takim razie musiała z granic chlubnego amatorstwa, w dziedzinę drobnego przemysłu wiejskiego, zapewniającego dochód.

W konkursie jedwabnictwa przyjmowało udział 5 kobiet. Wielki medal srebrny cesarskiego St.-Petersburgskiego towarzystwa ekonomicznego za najobszerniejszą w królestwie plantacyę morw, piękne okazy oprzędów i rozwiniętego jedwabiu, otrzymał Baron Dangel Tomasz z Chojnego.

W oddziale tym z kobiet stawających do konkursu, otrzymały listy pochwalne: Mańko Michalina i Cecylia z Warszawy za okazy oprzędów rozwiniętego jedwabiu i waty jedwabnej; Bogucka Amelina za dobre oprzędy i wyrób odpadków z jedwabiu—Goldmann Joanna z Warszawy za oprzędy i jajeczka jedwabnicze. Wynagrodzenie pieniężne: Adameczewska Aniela, rozwijaczka z zakładu Barona Dangla rs. 15; Idzikowska Paulina prządka z zakładu Barona Dangla rs. 5; Kucharska Bronisława rozwijaczka z zakładu Adolfa Boguckiego rs. 10; Kulesz Paulina, rozwijaczka z tegoż zakładu rs. 10.

W pawilonie tym znajdowały się *Plany gospodarstwa leśnego* w różnych majątnościach naszego kraju, a pomiędzy innemi hrabi Ostrowskiego z Maluszyna, hr. Artura Potockiego w dobrach Staszowskich i księcia Romana Sanguszki ze Sławuty, za które dwaj pierwszy wystawcy otrzymali medale złote,

a ks. Sanguszko wielki srebrny medal.—Kto rozumie znaczenie lasów w ekonomii przyrody, przejąć się musi wysokiem uznaniem dla tych, którzy nie tylko umieją zachować te bogactwa w lasach, jakie odziedziczyli po przodkach, ale umiejętną pracą przysparzają przyszłym pokoleniom bogactwa, zamieniając nieplodne nieużytki na lasy, źródło tyłu użytecznych produktów i ochronę przeciwko wysychaniu rzek naszych.

Obok pawilonu tego, mieściła się wystawa produkcyi *Torfów naturalnych i prasowanych*. Wykazuje ona budzący się w tym kierunku przemysł, który zapewniając zyski producentom, przy należytych rozwoju może wpłynąć jeśli nie na obniżenie, to przynajmniej na wstrzymanie w mierze i tak już nader wysokich cen materyałów opałowych i oszczędzając zarazem lasy od ciosów topora. Niektórzy wystawcy zapewniali nas, że wkrótkim czasie ułatwią dla mieszkańców Warszawy nabywanie torfu, otwierając w mieście naszym składy tego materyału. W konkursie za płody leśne z kobiet przyjęty udział: Dobromiła i Zofia Jastrzębowskie z Czysatego i zostały nagrodzone za okazy drzewek leśnych we własnej szkółce wyhodowanych kwotą rs. 25.

Całą północną stronę placu Ujazdowskiego, a od wejścia lewą, zajmowały *Inwentarze*.

Bydło rogate bardzo obficie było reprezentowane: najwięcej przedstawiono okazów rasy holenderskiej. Wnosić ztąd można, że rassa ta najlepiej nadaje się do naszego klimatu, a szczególnie odznacza się wysoką mlecznością. Wiele bardzo sztuk bydła wystawionych na sprzedaż znalazło chętnych nabywców. Fakt to bardzo pocieszający, świadczący wymownie, że hodowcy rasy poprawnych zaopatrzyli już dostatecznie swoje obory, skoro mają okazy na sprzedaż, dowodzi nadto, że ci ziemianie, którzy potrzebują poprawić rasę stad swoich, nie skąpią na to i są w stanie ponosić nakłady.

Z wystawców przyjmujących udział w tym konkursie otrzymali złote medale: Werner Józef z Siemienia, za krowy rasy holenderskiej i za buhaja. Skrutkowski Stanisław z Gawarłowej Woli za jałowice rasy holenderskiej i za buhaja. Hr. Artur Potocki z dóbr Staszów: za buhaja, krowy i jałowice rasy holenderskiej. Czarnowski Artur z Miłosławic za krowy rasy holenderskiej i staranną hodowlę w obranym kierunku. Medal srebrny wielki z Moskiewskiego Towarzystwa udoskonalenia hodowli bydła: Podbereski Michał ze wsi Wysoki Dwór, za buhaja i jałowice rasy shorthorn.

Pomiędzy nazwiskami wystawców tego działu spotkaliśmy pięć nazwisk kobiecych, z pomiędzy których nagrodzone zostały listami pochwalnymi: Korycińska Marya z Warszawy za krowę rasy krzyżowanej; Pruszek Helena z Orońska za jałowicę rasy holenderskiej; Lilpop Joanna z Brwinowa za jałowicę rasy holenderskiej.

Trzoda chlewna wystawiona była w wielkiej liczbie przepysznych okazów, wyłącznie prawie ras angielskich lub mieszanych z krajową; okazuje to, że postępowi gospodarze, skłonni są do zastąpienia rasy krajowej rasą angielską. Wyższość tej rasy, jak zapewniają specjaliści, polega na tem, że okazy do niej należące, prędzej się tuczą niż pozostające w tych samych warunkach okazy rasy krajowej; wszelako rasy angielskie mają mięso przeraźtałe tłuszczem i na odwrót słone nie przeraźtała warstewkami mięsa, podczas kiedy słonina rasy krajowej jako jednolita w massie swej, lepiej nadaje się do przechowania. Handlarze pruscy chętniej zawsze nabywają okazy rasy krajowej. Należałoby się liczyć z tym faktem i kto wie czy podniesienie hodowli rasy miejscowej, nie byłoby właściwszem niż ubieganie się za rozmnażaniem trzody rasy zagranicznej.

Wiadomo jak zyskowną jest hodowla tych nieestetycznych zwierząt, jak chętnych zawsze na trzodę chlewną można znaleźć nabywców. Wszak to najkorzystniejsza i najbardziej kwitnąca gałąź małego rolnego i kobiecego gospodarstwa.

W konkursie trzody chlewniej pomiędzy wystawcami spotkaliśmy tylko jedną kobietę.

Medal złoty za okazy trzody otrzymali: Podbereski Michał z Wysokiego Dworu za ogół okazów rasy Suffolk i York.

Owce bardzo licznie i świetnie reprezentowane były na wystawie; co rok widać w tym dziale postępy, krajowe owczarnie dostarczają już macior

i tryków; jakie dawniej koniecznie należało sprowadzać z zagranicy, płacąc za to znaczne sumy.—Pomiędzy wystawcami owiec spotkaliśmy jedno nazwisko kobiece.

Z wystawców owiec otrzymali: Bertram Oskar z Bodzanowa medal złoty, Skrutkowski Stanisław z Gawartowej Woli zatwierdzenie złotego medalu uzyskanego na wystawie rolniczej 1870 r.

Konie w znacznej bardzo liczbie sprowadzone przedstawiały wszystkie prawie rasy, zaczawszy od czysto-polskiej, tak rzadkiej dzisiaj i ruskiej ysackiej, aż do czystych arabskich i angielskich; tych ostatnich było stosunkowo mało. Roboczych koni było bardzo mało; przeciwnie rasy Percheron i Suffolk—pod dostatkiem niewiadomo tylko jeszcze czy rasy te będą na nasze drogi i mosty przydatnymi.

Medale złote za hodowlę koni otrzymali hr. Władysław Branicki ze Stawiszcz, Grabowski Ludwik z Sernik. Hr. Krasieński Ludwik.

Pomiędzy wystawcami były dwie kobiety, z których jedna a mianowicie p. Kuczyńska Joanna otrzymała medal brązowy.

Stanowisko państwa w państwie zajmował na wystawie nader gustownie urządzone *Pawilon hrabiego Ludwika Krasieńskiego*. Słyszeliśmy wiele zdań, że gdyby tylko ten jeden pawilon był do widzenia, już wystawa wartaby była obejrzenia. Pawilon ten składał się z korpusu i dwóch skrzydeł przednią zaś część, oddzielającą mały dziedziniec pawilonu od placu wystawy, tworzyła altanka, nader ozdobna a skromna.

Korpus i skrzydła pawilonu, zajmowały piękne okazy bydła holenderskiej rasy, oraz koni. Widzieć tam można było i parę prześlicznych kucyków i wielkie konie robocze rasy Suffolk i smukłej rasy synów Albionu, a nakoniec prześliczne araby, za hodowlę których hrabia Krasieński otrzymał wielki złoty medal. Szczególniej siwy ogier, niekiedy przystrojony w starodawny rzed złotolity, był przedmiotem powszechnej ciekawości. Patrząc nań odświeżaliśmy sobie w pamięci różne poetyczne kreacyi śpiewaka Mohorta. Okaz to godzien uwiecznienia pędzlem Kossaka, Brandta lub Brodowskiego.

Pośród dziedzińca pawilonu hrabiego Krasieńskiego, znajdowały się cztery klatki mieszczące w sobie prześliczne okazy drobiu. Zwracały na siebie powszechną uwagę kaczki Labradorskie, kury Padewskie (w katalogu „Padwańskie“), gęsi Tuluzkie olbrzymich rozmiarów. Usiłowania zaaklimatyzowania różnych zagranicznych gatunków drobiu, są bardzo chwalebne i łatwiejsze dla ludzi bogatych niż dla ludzi średniej zamożności. Ci bowiem ostatni mogą zaprowadzać na większą skalę tylko hodowlę gatunków przynoszących niezawodne korzyści.

Zapomnieliśmy dodać, że i przy baraku mieszczącym trzodę chlewną znajdowały się okazy drobiu, zresztą bardzo nieliczne. Jeden to więcej dowód, że produkta gospodarstwa kobiecego bardzo słabo na wystawie były reprezentowane. Pomiędzy wystawcami drobiu figurowało nazwisko tylko jednej kobiety.

Przy ogólnej drożyznie drobiu jakże pożądanymi byłyby wiadomości o zaprowadzeniu chowu na wielką skalę i cyfr przedstawiających korzyści ciążące z odpowiednich zakładów, któreby zachęciły do naśladownictwa.

Wracamy do opisu pawilonu hr. Krasieńskiego:

W altance znajdującej się na froncie mieściły się okazy płodów rolnych i ogrodowych. Znajdowały się tam najrozmaitsze owoce, prześliczne zboża, melony, dynie, arbuzy i t. p. około altanki w gustownym nieładzie rozłożone były wspaniałe okazy przerożnych a bardzo pięknych ogrodowizn.

Szczytowe ściany bocznych skrzydeł pawilonu hrabiego Krasieńskiego ozdobione były innymi jeszcze produktami, jakie wydają liczne jego załogi. Były tam skórki tumaków borowych, t. j. kun leśnych; olbrzymie pstrągi ze Złotego Potoku, niestety,

w słoju, nasiona drzew i różne przetwory przemysłu leśnego, jakoto: terpentyna, węgiel i t. d. Cały zewnętrzny front pawilonu, po obu stronach altanki, ozdobiony był odcinkami wiekowych dębów, sosen, świerków, buków, jesionów i t. p., a obok pawilonu leżały pnie tych olbrzymów świata roślinnego, jak również belki, podkłady i t. p. wyroby drzewne z obszernych lasów należących do majątków hrabiego.

Zwiedziwszy pawilon ten, miło było nabrać przekonania o takim zasobie tak umiejętnie eksploatowanych bogactw ziemi, dla ludzi prawdziwie pracowitych, mlekiem i miodem płynącej i bynajmniej nie zadziwił nas widok 12 kart, świadczących o tyluż udzielonych medalach, jakie otrzymał hrabia Krasieński, z których dwa złote za hodowlę koni krwi arabskiej i za wzorowe urządzenie gospodarstwa leśnego w dobrach Złoty Potok, Opinogóra, Czemierniki i Krasne.

Pawilon Przemysłowców Warszawskich, zbudowany nieopodal od wejścia na wystawę, z lewej strony, mieścił wiele bardzo różnorodnych okazów niemających wprawdzie nieraz bliższego związku z rolnictwem, ale chlubnie świadczących o wzrastającym rozwoju przemysłu krajowego. Znaczna jednak liczba fabryk i warsztatów, tak Warszawskich jak i prowincjonalnych nie przyjmowała udziału w wystawie. Jedni nie przedstawiali wyrobów, nie będąc przypuszczeni do żadnego konkursu wystawy, nie przemysłowej lecz rolniczej, inni powstrzymali się sami od przedstawienia swych wyrobów, uważając to za niewłaściwe, skoro wystawa odbyta we wrześniu, nie była wystawą przemysłową.

O wszystkich wystawionych tu przedmiotach mówić niepodobna, znaczna ich liczba nie była nawet pomieszczona w katalogu. Zwiedzając kilkakrotnie wystawę, widzieliśmy przybywające coraz to nowe rzeczy i nowych wystawców, podszywających się pod skrzydła pawilonu Warszawskich przemysłowców a istotnie przybyłych z zagranicy z różnymi drobiazgami na sprzedaż.

(Dokończenie nastąpi).

NA WSCHODZIE, USTĘP Z WYCIECZKI NAD AMUR

Napisał S. Maksimow.

Handel herbata.

(Dalszy ciąg).

Sukna rosyjskie nazywane w języku chińskim *kało*, miały w Kiacheie oddzielne nazwy, wytworzone z przekręconych nazwisk fabrykantów. I tak były sukna mezyryckie, masłowe, karpowajskie i t. d. To były trzy najulubieńsze gatunki. Bardzo chętnie nabywali również Chińczycy rosyjski manchester, pochodzący głównie z fabryki Chlebnikowa. Nankin natomiast, poprzednio, gdy Syberia zaludniała się jeszcze przybyszami z Rosyi, był przywożony z Chin. Obecnie nastąpił stosunek odwrotny. D. 20 lutego 1850 r. Rosyjsko-amerykańskiej kompanii, dla dopomożenia jej obrotom handlowym, dozwoleńem zostało przywożenie herbaty morzem z Chin i sprzedawanie jej w guberniach St.-Petersburgskiej, Inflanckiej, Kurlandzkiej i Estońskiej, oraz w Finlandyi.

Przywilej ten miał trwać dwa lata i obejmować sobą 4 tysiące skrzynek, czyli 8 tysięcy pudów corocznie. D. 19 grudnia 1852 r. przedłużono termin na dwa lata, a w 1854 r. kompania wyjednała sobie dozwoleńie przywiezienia w roku następnym do Pe-

tersburga prócz poprzednio dozwoleńonych jeszcze 4 tysięcy skrzynek.

Za to handel ze strony Chin prowadził się samą jedynie herbata. Niejednokrotne próby dokonywane przez Kiachtyńskich kupców w celu wymiany innych chińskich produktów prócz herbaty, np. jedwabiu, indygo, różnych farb nie doprowadziły do żadnego skutku. Sansyńscy monopolisci, którzy na kilkadziesiąt lat zadzierzawili wszystkie plantacje herbaty w Fuczanie, starali się w widokach swojego zysku odjąć ochotę na przyszłość do innego zamiennego handlu kupcom rosyjskim. Przywozili więc od czasu do czasu, lecz w bardzo małych ilościach, cukier lodowaty, nankin, seleńskie jaskrawych kolorów bawełniane wyroby i trochę różnych jedwabnych materyi, jako to: kanfu, kanczu, czemuczu, janczu, lenzu i t. d. Lecz na wszystkie te wyroby nałożone były tak olbrzymie ceny, że kupowali je jedynie amatorzy jako rzadkość. Prócz tego chińskie jedwabne materye bynajmniej nie odpowiadają gustowi przyjętemu w Rosyi i w całej Europie, chociaż w rzeczywistości są doskonałe i nader trwałe, szczególnie zaś te, które podobne są do atłusu. W każdym razie nie mogą one służyć jako wyrób zdolny do wywozu na obszerną skalę i pomimo wszelkich usiłowań Kiachtyńskich kupców zmuszeni oni byli zawsze ograniczać się jedynie prawie na wywozie herbaty.

Wracamy i my więc z naszej strony do herbaty, ażeby wypowiedzieć o niej ostateczne rezultaty naszych badań.

Czteryście tysięcy skrzynek herbaty szło z Chin na potrzeby Rosyi, w której obecnie nawet staro-wiercy poczęli używać tego napoju, a w jednej restauracyi w Moskwie spotrzebowują tego produktu codziennie całą skrzynkę czyli 365 w ciągu roku.—Wziąwszy na uwagę, że w Moskwie rzadko kto nie pija herbaty trzy razy dziennie, że tak to miasto jak i inne handlowe przepelnione są składami z namalowanymi na szyldach czajnikami i filiżaneczkami z dziesiątkami stołów przeznaczonych wyłącznie i ciągle tylko do picia herbaty—zrozumiemy z łatwością, że 400,000 skrzynek herbaty z Kiachty pochodzącej nie jest w stanie zadosyć uczynić potrzebom Rosyi, gdyby nawet niesumienność sprzedających powiększała tę ilość z pomocą wysuszonych na wolnym ogniu resztek herbaty już raz użytej. Czyż przy okolicznościach już przytoczonych cyfra ta herbaty wystarczy może, gdy jeszcze weźmiemy na uwagę, że znaczna część tak zwanej cegiełkowej herbaty, spotrzebowywaną bywa po drugiej stronie gór Uralskich (to jest w samej Syberyi)? Zkądże więc się bierze ta niesłychana moc herbaty, zdolna zadosyć uczynić potrzebie dwukrotnego jej używania każdego dnia? Kaperska herbata znana bardziej pod nazwą Janowej, dawno już przestała odegrywać rolę przymieszki do najniższych innych gatunków. Rozpoznał ją nawet najuboższy lud i stanowczo się od niej odstrychnął, a prócz tego wyszedł formalny zakaz sprzedawania tego gatunku. Tak zwana Janowa herbata, jestto wysoka trawa rosnąca w stepach z długimi kosmykami liloworóżowego koloru. Wydaje ona z siebie owoc napełniony nasionkami, z długimi jedwabistymi włóknkami.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się dalszy ciąg powieści **Middlemarch**.

TREŚĆ: O tem i owem, przez Anastazję Dzieduszycką. — **Niewiasta polska**, (dalszy ciąg), przez K. Wł. Wójcickiego. — **Historja o Janaszu Korczaku i o pięknej miecznikównie**, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd piśmienniczy**, przez Kazimierza Kaszewskiego. — **Listy z zagranicy**, przez J. I. Kraszewskiego. — **Przegląd teatralny**, przez Edwarda Lubowskiego. — **Sprawozdanie z wystawy rolniczej**, (dalszy ciąg). — **Na wschodzie**, (dalszy ciąg), przez S. Maksimowa.